

1884/84
Dodatek do № 42 „Roli“.

BIBLIOTEKA

im.

JANA JELEŃSKIEGO

ŻYWY POMNIK Z OFIAR WSPÓŁZIOMKÓW.

№ 3

Rok 3333

czyli

SEN NIESŁYCHANY

PRZEZ

J. U. NIEMCEWICZA.



WARSZAWA 1911.

Cena za 1 egz. 5 kop., za 100 egz. rb. 3.

LP I 4b

405990

I

K-74/11884
22.10. 61-



SŁOWO WSTĘPNE.

Julian Ursyn Niemcewicz (ur. 1758 r. um. 1841), mąż stanu, historyk i poeta, jeden z najznakomitszych pisarzy, jakich wydała Polska przed półtorastą laty wśród wielu poważnych rozmiarami i treścią pism swoich pozostawił maleńką ale wielce ucieśzną i bardzo pouczającą powiastkę w tej książeczce właśnie zawartą.

Opisuje w niej autor swój „sen niesłychany”, w którym widział się przeniesionym do Warszawy i Polski takich, jakie mogą być w roku 3333-cim.

Nam, którzy żyjemy po Niemcewiczu ledwie w sto lat, gdy widzimy, jak panoszy się wszędy żydowstwo, jak szyldy w żargonie wywiesza na ulicach miast polskich,

jak zakłada swe żargonowe teatry, dzienniki etc. — nam powtarzam, „sen niesłychany” Niemcewicza musi wydać się, doprawdy, mniej „niesłychanym”, owszem bardzo możliwym i to nie w r. 3333-cim, ale za jakie lat może sto lub mniej nawet.

I dlatego mimo ucieśności tej powiastki treść jej krotochwilna każdemu człowiekowi głębiej myślącemu nasunie niejedną myśl poważniejszą i pożyteczną. Przedewszystkiem zaś wzbudzi ona w czytelniku, niewątpliwie, najgorętsze pragnienie by ten „sen niesłychany“ a dziś coraz możliwszy nigdy przenigdy nie mógł się urzeczywistnić. Dlatego zaś trzeba, oczywiście, nawrócić do hasła, jakie głosił ten, którego pamięci biblioteczka niniejsza jest poświęcona.

Szczepan Jeleński.

W niedawnych czasach, gdy wiele wybor-
nych pism wychodziło o urządzeniu żydów, gdy
materję tę jako bytu lub z czasem zatracenia
rodu i imienia polskiego tyczącą się, po wszyst-
kich roztrząsano zgromadzeniach, ja również
z innemi czytałem, słuchałem doświadczeńszych
odemnie, nieraz nawet odważałem się i sam
odezwać.

Czytanie różnych pism, rozumowanie nad
przedmiotem ich, długo zajmowały wszystkich
umysły, a mnie do tego stopnia, iż czyli to
u siebie, czy idącemu przez ulicę, czy w do-
branych towarzystwach, gdzie i pół pejsaka na-
wet nie znajdowało się, mnie w rozognionej
imaginacyi mojej snuły się same starozakonne
postacie, a nawet w wytwornych pięknych dam
przybytkach, kędy w porcelanowych donicach
same tylko tchnęły jaśminy i róże, mnie zala-
tywał zapach, jednym tylko łapserdakom wła-
ściwy.

Nie dziw więc, że tak gwałtownie, tak długo myśl moja na jawie jednemi zajęta przedmiotami, też same stawiała mi i we śnie, lecz w jak dzikim, w jak niesłychanym sposobie, co sama tylko nieograniczona nadana wolność drzymaniom wytłómaczyć i wymówić potrafi.

Zdało mi się naprzód, żem był we Włochach, wiosce o pół mili od Warszawy.

Tam obejrzawszy przykładne gospodarstwo, wprowadzone w rolnictwie i narzędziach wynalazki, wypiwszy szklannicę wybornego mleka, do Warszawy wracałem; lecz jakie było podziwienie moje, gdy zbliżając się do stolicy, postać miasta tego inną wcale od dzisiejszej w oczach moich stawała. Im bardziej zbliżałem się, tembardziej odmienność ta uderzała mię i zadziwiała.

Napróżno wojskich rogatek szukałem; na miejscu ich znalazłem nieforemną bramę, a raczej potężne wrota z okopconego wiekiem kamienia, na szczycie ich, była herbowa tarcza przez dwóch lewiatanów trzymana. Długo starałem się rozeznać coby się w polu jej mieściło, aż nareszcie odkryłem, że to były cycele (poświęcone sznureczki, które żydzi w kraju łapserdaków swoich noszą), dość kunsztownie wyrytę. Na gziemście dwa wiersze w hebraj-

skim języku, a pod niemi te słowa łacińskimi literami: Moszkopolis A. 3333.

Mimo przywileju snów, w których najdziwsze rzeczy zdają się rzetelnemi, nie mogłem się pojąć w zdumieniu mojem. Następujące jednak snu tego opowiadanie dowiedzie, że z każdym prawie krokiem com uczynił, wzrastało smutne zadziwienie moje.

Wjehawszy w miasto ujrzałem po obu stronach domy, na wzór karczem dzisiejszych stawiane, z wystawami i stajniami. W niektórych miejscach sterczały żerdzie. Od nich od jednego domu do drugiego naprzeciw przeciągnięte były sznury, na znak, że właściciele tych domów powinowactwem byll złączeni.

Przed domami siedziały żydówki, a przed niemi macki z obarzankami, kukielkami i solą. Nigdzie nie było bruku, lecz natomiast błoto niezmierne. Około domów mnóstwo kaczek, gęsi, kur, indyków babrzących się w tem błocie. Wszędy snuły się ćmy brudnych żydów, naprzód i w tył, na lewo i na prawo.

— Przebóg! zawołałem: gdzież ja to jestem? jakże się zżydziło to miasto? jakże? nie ujrzęż i jednego chrześcianina-polaka.

Ledwiem wyrzekł te słowa, alic spostrzegłem małą, brudną dryndulkę, a na niej siedzącego woźnicę, przecież nie w żydowskim ubio-

rze. Kiwnąłem i przybył. Wsiadłem umyślnie, bym od tego człowieka mógł powziąć objaśnienie względem tego wszystkiego com widział, i czegom pojąć nie mógł.

Że dorożka w niezmiernem na ulicach błocie postępowała powoli, a niedostatek bruku wszelki hałas oddalał, ja i woźnica mogliśmy się wybornie słyszeć i wygodnie rozmawiać.

— Mój przyjacielu — rzekłem — zaklinam cię, powiedz mi co się znaczy, tak niepojęta, tak prędką odmiana. Niedawno Warszawa była miastem chrześcijańskim, polskim, skądże dzisiaj w mieszkańcach, w domach, słowem we wszystkim tak się zżydzila?

— Albo jegomości musi się śnić—odpowiedział trochę z żydowska woźnica, albo z innego kraju musiałeś tu przybyć. Gdzie tam niedawno! ludzie powiadają, że tu już z tysiąc lat, jak żydowstwo opanowało tę niegdyś polską ziemię.

— Jakimże sposobem — zawołałem — wojenny lud dał się podbić tym kapcanom?

— To mędrsi i uczeńsi doskonalej wam powiedzą, ja tylko wiem to, czegom się z ustnego podania, od dziadów i naddziadów mych nauczył. Nie oreżem oni podbili polaków, lecz sztuką, podstępami, przekupstwem; nie wiem dokładnie jak to było, lecz gdy raz otrzymali prawo wchodzenia do wszystkich urzędów, na-

bywania własności ziemskich, nic niezmordowanej przebiegłości ich i wykrętom tamy położyć nie mogło, tak, że z wiekami zgnetli polaków chrześcian, sami opanowali wszystko, a gdy nikt nie chciał brudno zaszarganego Królestwa, wybrali sobie króla i starożytną Polskę Palestyną nazwali.

Oślupiałem na te słowa, i byłbym długo w zdrętwiałości mojej pozostał, gdyby dorożka nie przejeżdżała wedle miejsca gdzie bywał, „pałac błękitny“.

Tu westchnął głęboko woźnica mój i rzekł:

— Ten dom co widzicie po prawej ręce, należał przed wiekami do przodków moich, na-przód był książąt Czartoryskich, a potem przeszedł do imienia mego, do Zamoyskich.

— Co ja słyszę! — zawołałem — ty jesteś Zamoyski?

— Nieinaczej — powtórzył z westchnieniem — jestem Zamoyski i poganiam tę dryndulkę. Żona moja jest Zosia Czartoryska, kobiątka, jak ludzie powiadają, wcale ładna, mój szwagier Czartoryski ma ogródek na przedmieściu, który uprawia i z którego żyje.

— Przedwieczny Boże! — zawołałem — do czegoż to przyszło.

— Nie dziwcie się — przydał dorożkarz — to samo się stało z wszystkimi dawnymi ro-

dami polskiem. Radziwiłłowie są mularzami, Potoccy i Sanguszkowie bawią się furmanką i drzewo wożą do Wisły, Chodkiewicz, Krasieńscy, Lubomirscy, Sapiehy posli na cieślów. Nikomu z chrześcian niewolno mieć ni ziemskiej, ni miejskiej własności, chyba, że żydem zostanie. Jakoż niejeden przyciśniony biedą, znużony i upodlony uciskiem, zapomniawszy co winien Bogu i sobie, został żydem, zapuścił pejsaki i tak się dobrze kiwa nad talmudem jak Jud najlepszy.

Ledwie skończył te słowa, gdyśmy spostrzegli tłum żydów na koniach z włóczniami w ręku, w lisich czapkach i ładownicach, bez żadnego porządku jadących, dwóch trębaczów w podobnymże ubiorze jechało przodem, mieli oni trąbki, mało co większe od tych, któremi się dzieci bawią, i raptem tak przeraźliwie zapisknęli w te trąbki, iż konie zaczęły się trwożyć i kręcić, jeźdźcy gubić pantofle, zsiadać, szukać ich po błocie. To zastanowiło i poczet ów wojenny, a zarazem i dorożkę moją.—Cóż to się znaczy?—zapytałem przewodnika mego.

— Jest to—rzekł—gwardya konna królewska, powracająca z zamku, zawsze taka bieda kiedy się ich napotka, bo ustawnte coś zgubić lub upuścić muszą, gorzej kiedy na ćwiczenia

wyjadą w pole, jak się to paskustwo puści kłusem, to pada jak gdyby gruszki jakie.

Nie wiem jak długo trwałby ten nieporządek, gdyby się nie pokazał zdaleka w karecie wspaniałej stary żyd z dużemi utrefionemi pejsakami, w opończy, którą potężne srebrne okrywały haftki. Wielu żydków w samym kwiecie młodości harcowało koło karety na konikach.

Jak tylko poczet konny spostrzegł go, wraz czy, który znalazł pantofle, czy nie, czy który dopadł konia lub nie, wierzchem, piechotą, jak kto mógł, porwali się z miejsca i uciekli w poboczną ulicę. Mój dorożkarz, korzystając z oczyszczonej na ulicy luki, ruszył naprzód, a przejeżdżając około wielkiego owego starego Pana, zdjął czapkę i schyliwszy głowę aż na kolana długo w tej pozyturze zostawał. Zapytałem ktoby był ów żyd bogaty?

— Jestto—odpowieeział—Książę Wojewoda Icek Szmulowicz, prezes rady stanu, jeden z największych panów naszych. Oprócz znacznych dóbr ma pałac na Krakowskiem Przedmieściu, i blisko miasta Wilanów.

— Co—zawołałem — żyd jest panem Wilanowa?

— A zkadże znów Jegomość jedzie? — zapytał z zadziwieniem woźnica—jużci zapewne nie będzie go miał żaden z chrześcian, tym

niewolno tylko za pańszczyznę uprawiać rolę, albo po miastach prowadzić podlejsze rzemiosła.

— W jakimże stanie jest dzisiaj Wilanów, czy tak piękny i porządny jak był za dawnych właścicieli, czy ta murowana wioska, ten folwark, ta nowa część ogrodu, co ją pani Potocka założyła, dobrze są utrzymane?

— Nie wiem ja — odpowiedział dryndulkarz — co było wprzód, to wiem, że dziś stoi tam wielka gorzelnia, browar, wołownia. Pałacysko brudne strasznie, zachowano nad Wisłą dwa drzewa, pod którymi Icek Szmulewicz kuczki swoje odprawia, król go bardzo kocha.

— To macie króla, i któż jest tym królem?

— A któż ma być? jużci żyd.

— Jakże się zowie?

— Moszko XII — odpowiedział mój przewodnik.

Wpadając raz po raz z zadumienia w zadumienie, już się na koniec (jako w snach bywa) przekonałem, że to wszystko prawda, została tylko mocna ciekawość widzenia wszystkiego co się działo w tem czarnem królestwie.

— Nie mógłbyś mnie — rzekłem do dorożkarza — zawieść do zamku, po dykaśceryach, teatrach, etc. a zapłacę sownie.

— Do wszystkich tych miejsc — odpowie-

dział dorożkarz—chrześcianom zabroniony jest przystęp.

— Co to za nieszczęście—rzekłem—dałbym wiele żebym te wszystkie niewidziane dziwy mógł widzieć.

— Jeśli Jegomość chce odłożyć pieniądze, to wszystko zobaczy.

— Jakże gdy mówisz, że to zakazane.

— Zakazane to prawda, ale za pieniądze u nas wszystko wolno.

Pomacałem się po kieszeni i kazałem się wieść do zamku. W samej bramie zatrzymał mię zaraz żyd grenadyer z ogromną lisią czapką i z upudrowanemi pejsakami, wrzeszcząc co miał głosu:

— Stój Waść.

Tu dryndulkarz obróciwszy się rzekł mi:

— Dajcie mu talara.

Uczynilem jak radzono, i natychmiast talar przetamał zaporę. Jak całego miasta, tak też nie poznałem i dawnego zamku Zygmun-tów. Bóg tam wie, co to było za straszydło! Stało na dziedzińcu mnóstwo teleg, koszlawych karet i koczów. Przy wnijściu na wschody, druga przeszkoda, podobnie z mej strony ułatwiona jak pierwsza. Wszedłem nakoniec na pokoje królewskie. Pokazanie się moje, strój, postać, nie małe sprawiły zadziwienie, zaczęło

żydowstwo szeptać, krzywić się, gdy dwóch młodych żydków w popielatych łapserdakach z czarną aksamitną lamówką, zbliżyło się do mnie. Spostrzegłem, że to były szambelany, gdyż przy wiszących cycelach nosili u kolan dwa złote klucze.

— Waści tu nie wolno wchodzić! — rzekł mi jeden dość przykro.

Nie tracąc przytomności, pamiętny na rady dorożkarza dobyłem dwa dukaty i po jednym każdemu z szambelanów nieznacznie wścibiłem do ręki. Natychmiast wypogodziły się czoła młodych izraelitów. Jeden z nich pobiegł do Wielkiego Marszałka, jak rozumiem z doniesieniem o mnie, drugi pozostawszy:

— Uważam — rzekł — że waść jesteś cudzoziemcem, ciekawym zapewne widzieć dwór Najjaśniejszego Judy, szczęśliwie wcale trafiłeś, ujrzysz go w całej okazałości, dziś bowiem jest uroczystość obrzezania Najjaśniejszego królewicza Lejby. Król okaże się w całej okazałości, jeżelibyś waść znał się na grzeczności, tobym ja mu służył za przewodnika, okazał i oprowadził wszędy.

Lubo przymówienie się to ze strony szambelana dworskiego zdawało mi się cokolwiek niedelikatnem, z tem wszystkiem rzuciwszy oko na pejsaczki przestałem się dziwić, i dobywszy

dwa jeszcze dukaty wsunąłem w dłoń szambelanowi.

Ściskając mię za rękę, rzekł:

— Nie odstąpię waści aż wszystko obejrzysz. Pójdźmy do drugiego pokoju, gdzie są zebrani panowie radni i ministrowie.

Żydziaś szepnął do ucha na prawo i na lewo, wraz nam uczyniono miejsce. Weszliśmy do wielkiej sali połączanej, lecz brudnej, po jednej i drugiej stronie siedziały żydy w bogatych łapserdakach. Acz kosztownie ubrani, uważałem jednak, że pantofle ich nie były wychędożone, i nie było jednego coby nie miał pończoch granatowem suknem na piętach łatanych. Przy samych drzwiach stało dwóch żołnierzy z lejbs gwardyi, mający na łapserdakach blaszane posrebrzane zbroje i włócznie w ręku.

Wkrótce uwagę moją obudziło mocne, potrójne uderzenie we drzwi. Na ten hałas porwały się wszystkie żydy z ław swoich, a mój przyjaciel szambelan szepnął mi:

— Pójdź waść w tę stronę, a wygodnie wszystko zobaczysz.

Jakoż otworzyły się podwoje i zaczął iść dwór królewski, pазie, szambelanowie, panowie radni. Nakoniec ukazał się sam król Moszko, a w tem wszystkie żydy, co tylko ich by-

ło, jeśli się kiwać na kształt chińskich bałwanów. Mój przyjaciel szambelan powiedział, że ten był sposób witania króla. Osoba monarchy wielce mi się okazała wydała. Był to pan, mogący mieć około lat czterdziestu, niezmiernie czerwony, tłusty i piegowaty, pejsaki miał rudo-kasztanowate i brodę tejże samej maści. Łapserdak i opończa były z czarnego aksamitu z potrzebami dyamentowemi jak najpiękniejszej wody. Jarmułkę otaczał szereg pereł różowych, z których każda po 50 karatów mieć mogła; u szyi freza obyczajem żydowskim, z tej na złotym łańcuchu zwieszał się order na kształt Złotego Runa, lecz przyjaciel mój powiedział mi, że to był order Icka Wielkiego. Nic atoli nie zastanowiło bardziej blaskiem nadzwyczajnym oczu mych, jak cycełe wiszące u kolan królewskich, były to sznurki z samych soliterów, z których najmniejszy jako orzech duży. Szambelan powiedział mi, iż ojciec królewski Moszko XI dał za te cycełe 10 milionów złotych holenderskich.

— Nie dziwuj się temu—mówił dalej szambelan—Najjaśniejszy Pan sam handluje drogimi kamieniami i wiele na nich zarabia (tu szepnął mi do ucha): a czasem nawet fałszywe za prawdziwe sprzedaje.

Za danym znakiem żydy przestały się ki-

wać i przedniejsi panowie uczynili koło. Wten-
czas król obchodząc krąg cały, rozmawiał z każ-
dym prawie, niektórych faworytów familiarnie
targał za pejsaki i brodę, w konwersacyi mię-
szając dowcipne żarciki, jak mnie przynajmniej
zapewniał przyjaciel mój szambelan, cała bo-
wiem rozmowa była w żydowskim języku. Po
skończonych powitaniach, choć stałem zdaleka,
król spostrzegł mnie, a zdziwiony figurą moją,
kazał do siebie przystąpić. Powiedziano mu
żem był z dalekich krajów wędrownik. Mo-
narcha z nieporównanym wdziękiem rozśmiaw-
szy się do mnie, podał mi swą rękę, którą ją
z najżywszem uczuciem pocałowałem.

Odprowadził mnie przyjaciel mój szambe-
lan aż do dorożki mojej, a żegnając oświad-
czył, iż życząc by pobyt mój w Moszkopolis
był jaknajprzyjemniejszym, zaprasza mię na bal
do ciotki swojej hrabiny Rachel, na ulicy Łok-
szyn mieszkającej.

— Nim wieczór nastąpi—przydał grzecz-
nie—będziecie może chcieli widzieć ciekawo-
ści Moszkopolis. Oto jest bilet — rzekł dając
mi kartę—za którym wszędzie wolny przystęp
otrzymasz. Trzeba jednak — przydał ze zna-
czącą miną—znać się na grzeczności.

Pożegnawszy się, wsiadłem do pojazdu,

nie mogąc pojąć jak do tyła można było łączyć z dostojeństwem tak niedelikatną chciwość pieniędzy.

— Jakże się tam długo Jegomość bawił — rzekł mi mój dorożkarz — miałem czas i konie paść i napoić i jeszcze nie widziałem końca. Dokądże teraz pojedziem?

— Jedź na sądy — rzekłem — wszędzie mię teraz puszcza, bo mam bilet.

Lubo postać cała Warszawy, ulice jej nawet odmieniły się, rozeznałem jednak, że dorożka zajechała na dziedziniec, gdzie niegdyś stał pałac Krasińskich, a dziś stała ogromna karczma.

— Gdzież mię to wieziesz? — zapytałem.

— Na sądy — odpowiedział woźnica.

I tu na wnijsciu, mimo okazanego biletu, były trudności, lecz za daniem dwóch talarów zniknęły. A nadto tłum żydków z faktorskiem prawdziwie narzucaniem się obstał mię, ofiarując się być przewodnikiem i tłumaczem moim. Wybrałem najpocześniejszego i dobrzem trafił, był to bowiem jeden z sławnych mecenasów żydowskich.

Weszliśmy po schodach pełnych śmieci i brudów do obszernego przedsionka, napelnionego tłumem żydowstwa. Sędziowie byli na ustępie. Usiedliśmy w kącie na ławie, co dało

mi czas rozmawiać z uczonym mecenasem moim i wiele światła zasięgnąć od niego.

— Panie—rzekłem mu—dlaczegóż tak nie-miłosiernie zburzyliście gmachy miasta tego i na miejscu wielu niegdyś, jak słyszałem, wspaniałych, tak nikczemne popostawiali?

— Uczyniliśmy to — odpowiedział mecenas—na mocy zakonu Mojżesza: „Zburzycie do szczętu, mówi Mojżesz wszystkie miejsca, na których mieszkali narodowie, a które wy posiadacie i porozwalacie ołtarze ich, i połamiecie słupy ich, spalicie Bogi ich, i wygładzicie imię z miejsca onego“.

— Przyznasz waść—mówił mecenas — że prawo to jest dosyć wyraźne. Jeśli wam niedosyć na niem, przytoczę więcej. Tenże Mojżesz tak mówi: „Wytracisz naród, który Pan Bóg twój poda tobie, nie sfolguje mu oko twoje, bo poszle Pan Bóg twój na naród ten szerszenie i zetrze je starciem wielkiem, aż będą wyniszczeni, a poda krocie ich w ręce twoje i wygubisz ich pod niebem, nie ostoi się żaden przed tobą, aż ich wytracisz. W ziemi, którą Pan Bóg twój dawa tobie w dziedzictwo, byś ją posiadał, wygładzisz pamiątkę Amalekową pod niebem. Ani się nie zlitujesz nad niemi, ani się spowinowacisz

z niemi, albowiem Pan wybrał ciebie, abyś był osobnym ludem. Nie zapominajże tego“.

— Mógłbym—mówił dalej mecenas — tyś się podobnych praw, podobnych zakazów cytować.

— Jakże—zawołałem—toście wytępilli całe plemię dawnych Polaków chrześcian?

— Talmudziści nasi—odpowiedział mecenas—którzy jeszcze więcej mają rozumu jak Mojżesz, tak słowa patryarchy tego wytłomaczyli: „Wygladzicie wszystkich właścicieli ziemskich i miejskich, zabierzecie dobra ich, lecz możecie zachować wieśniaków ubogich i wyrobników, aby pracowali dla was.

— Jakimże sposobem—zawołałem — mogliście tak waleczny naród częścią wytępić, częścią obrócić w niewolę?

— Jak nam przykazał Mojżesz „po lekku i po trochu“; przekupstwem, podejściem i wytrwałością. Najprzód przekładaliśmy, że to nic nie szkodzi gdy nam nadadzą prawo nabywania własności ziemskich i miejskich. Skorośmy to otrzymali, pomnożyły się sposoby nasze otrzymywania i więcej. Pchaliśmy się do nabycia wszystkich praw obywatelstwa i piastowania wszystkich urzędów; kosztowało nas to niemało, lecz czego złoto i wytrwałość nie zmożą? Spełnione życzenie nasze; już najpiękniejsze

majątki były w rękach żydowskich. Senat, ministerya, rady najwyższe, najpierwsze dostojęstwa państwowe piastowane były przez Moszków i Leybów, Ze wszystkich końców Europy potokami jęło się do Polski cisnąć żydowstwo. Nie zważano długo, że naród nasz przez samo prawo religii swojej spoić się z innym narodem nie może, że wiara nasza nie stowarzyszać się z ludźmi innego wyznania nakazuje, lecz wytępiać ich i niszczyć; postrzegło się potem chrześcijaństwo, lecz to już było zapóźno.

Gdy mecenas mój kończył te słowa, potrójne uderzenie we drzwi dało znać, że się ustęp zakończył, i natychmiast otworzyły się się podwoje.

— Jakież prawami, jakimże sądzicie się kodeksem?

— Kodeksem Mojżesza — odpowiedział mecenas mój.

Weszliśmy do sądowej izby.

Stał pośrodku stół około którego jedenastu sędziów siedziało. Dwunasty najwyższy, może ministra sprawiedliwości zastępujący, siedział na wyższem nieco krześle od innych. Był to otyły, siwy starzec, tak już latami znękany, że ni słyszeć, ni widzieć, ni zatem wiedzieć mógł o co rzecz szła. Młode żydki pisarzy i sekretarzy miejsca zastępujący uwijali się

koło niego i sędziów, i podobno całą sprawiedliwością podług woli swojej rzadzili. Przywołano sprawę kobiety i mężczyzny, obojga chrześcian. Była to przekupka około pięćdziesiąt lat mająca, niezmiernie tłusta, czerwona, słowem jak się pospolicie mówi „wyszczekana“ w najwyższym stopniu. Sama ona indukowała sprawę swoją po żydowsku, gdyż lud nasz języka tego uczyć się musiał.

— Kodeks Mojżesza—rzekła—w rozdziale XXV powtórzenia zakonu, nakazuje, że po mężu bracie bez potomstwa, brat męża tego z wdową żoną jego koniecznie ożenić się powinien. Ja się w tym przypadku znajduję, jestem wdową po mężu zesłym bez syna, brat jego nie chce się żenić ze mną, oskarżam go przed najjaśniejszym kahałem i upraszam, aby rozkazał, by mię wraz pojął, i kochał z całej duszy swojej.

W czasie tej indukty tłusty prezes zwiejszysią brodę na piersi chrapał i nic nie słyszał. Młody pisarz zbliżył się do ucha jego i jak gdyby odpowiedź odebrał, przywołał oskarżonego. Był to ubogo lecz czysto ubrany młody człowiek bardzo przystojnej postaci.

— Jakóbie — rzekł pisarz — sąd cię zapytuje, czy prawda, że się sprzeciwiasz prawu

Mojżesza i nie chcesz bratowej twojej pojąć za żonę?

— Prawda—odpowiedział—bo zakon nowy nie zaś prawo Mojżesza, chrześcianina wiązać powinny.

Na te słowa porwały się z zapalczywości wszystkie żydy.

— Co za zuchwalstwo!—krzyknęli—ty się śmiesz z nowym zakonem odzywać?

Gniew i zgroza od sędziów przeszły do słuchaczów; młode nawet żydki, jak żygawki zaczęły przyskakiwać do Jakóba, i pazurami drapać go, szczęściem wszczęty wrzask obudził zgrzybiałego prezesa. Zadzwonił więc i nakazał spokojność.

Jakób dalej mówił:

— Prócz przywiedzionej przyczyny, nie chcę pojąć stojącej tu Małgorzaty, naprzód, że jest pijaczka, powtóre, że jest brzydka, po trzecie, że jest stara, po czwarte i ostatnie, że kocham inną dziewczynę, i już z nią zaręczony jestem.

— Więc tedy nie chcesz jej pojąć?—zapytał Kahał.

— Przez żaden sposób — odpowiedział Jakób.

Tu pisarz kahalny otworzywszy zakon czytał następujące prawo: „A jeśliby mąż jaki nie

chciał pojąć bratowej swojej, i nie chciał wzbudzić bratu swemu imienia w Izraelu, tedy przystąpi bratowa jego do niego, przed oczyma starszych, i zrzuci trzewik jego z nogi jego, i plunie na twarz jego, a dom jego zwać się będzie domem wyzutego“.

Pisarz trybunalski skończywszy czytać:

— Małgorzato — zawołał — czyń co masz czynić.

Natychmiast Małgorzata zdjęła but Jakóbowi i plunęła mu na twarz: a Jakób otarł się i skończyła się sprawa.

Przywołano potem dwóch żydów oskarżonych, że w domu swoim mieli obrazy i posągi, i stawiono je przed sądem. Z miłym zadziwieniem ujrzałem między rzeźbami kilka starożytnych posągów pięknego dłuta, wśród obrazów zaś kilka najznakomitszych malarzy. Przeczytano prawo zakonu, nakazujące kruszenie wszelkich bałwanów i wizerunków, i w tejże chwili powyrzucano z okien wszystko, gdzie stojące już z oskardami i motykami żydowstwo, wszystko w kawałki potłukło i podarło. Przejęty do żywego takim barbarzyństwem, nie chciałem słuchać dłużej tak mądrych wyroków i dawszy dwa talary mecenasowi, wyszedłem.

Natura i we śnie nawet trzyma się przepisane go biegu: uczułem apetyt gwałtowny, po-

kazał mi dorożkarz najslawniejszego restauratora. Wszedłem; przez długą i wąską izbę ciągnęły się po obu stronach małe osobne stoliki, przykryte niezmiernie brudnymi serwetami, stały na każdym talerze z cynowymi sztućcami. Żydziaki, połowę z żydowska, połowę gadający z francuska, obskoczyli mię natychmiast, podając mi kartę potraw, i zapytując czegobym sobie życzył. Wziąłem kartę, na której z pomiędzy wielu przysmaków te tylko przypominam sobie:

Łokszyn a la Machabeje, Kugiel au` Smałc, Kaczkes a la Jerémie, Maces, obarżankes. Na spodzie napisano było po francusku: zapewnia się, że wszystko jest koszerne.

Przyniesiono mi wiele z tych potraw, lecz wszystkie tak czosnkiem zaprawne, tak okropnie brudne, iż zjadłszy tylko kilka jaj i dwie mace bez soli zapłaciłem i wyszedłem.

Już też była godzina szósta wieczorna, wychodząc spostrzegłem wiele pojazdów, stojących przed dużym szkaradnym gmachem, a woźnica mój oznajmił mi, że to był teatr narodowy żydowski. Jak ciekawy wędrownik nic, co jest ciekawego nie chcąc opuścić, wszedłem. Górne ganki i poziom (parter) dość były próżne, lecz w łóżach pełno. Dawano operę

w żydowskim języku pod tytułem: „Abigal grzejąca Dawida“.

Sytuacje w tym dramacie nie były najprzystojniejsze, w orkiestrze najwięcej cymbały słyszeć się dawały, głos pierwszej śpiewaczki, choć trochę przeraźliwy miał wielką rozciągłość. Sztuka ta była jednego z aktorów, i dlatego ustawicznie ją grano.

Po skończonej operze grano krotoczwilę czyli farsę, lecz mogę wyrazić zgrozę i głębokie oburzenie moje, gdym postrzegł, że w sztuce tej naigrawano się, wyszydzano najświętsze tajemnice wiary naszej chrześcijańskiej. Pełen żalu i gniewu wyszedłem z teatru, lecz na samem wsiadaniu spotkałem szambelana mego.

— Czemuż waść tak zapyrzony?—rzekł mi.

Opowiedziałem mu przyczynę zgorszenia i gniewu mego.

— Nie dziw się—rzekł—trzeba czem bawić spospółstwo, a nadto polityką jest naszą utrzymywać wzgardę dla religii katolickiej. Dzieje się to z przyczyn stanu, a wiesz, że w takim razie nikt się nie pyta o słuszność, sprawiedliwość, a nawet rozum. Jedź raczej do ciotki mojej na bal, ten wypogodzi zachmurzone czoło twoje.

Tak byłem rozgniewany, żem się długo

szambelanowi memu opierał; przemógł nakoniec naleganiem swoim i pojechaliśmy na gody.

Stanęliśmy przed obszerną karczmą czyli pałacem JW. hrabiny Rachel. Blask niezmierny w oknach uwiadomił nas, że się już bal rozpoczął. Szambelan wzięwszy mnie za rękę, wprowadził do sali. Trafiliśmy właśnie, gdy młody książę Icek z hrabianką Szłomą tańczył solo narodowy taniec, to jest, że każde z nich wzięwszy koniec chustki podskakiwało do siebie.

Gdy wszyscy unosili się nad gracyą i lubem ułożeniem tej pięknej pary, ja tymczasem prowadziłem oczyma po sali i gościach zebranych. Izba była obszerna i bogato ustrojona, lecz podłoga nie wymieciona, na wszystkich meblach pełno kurzu, postrzegłem nawet w rogach pozłacanych gzemsów kilkoletnie gęste pajęczyny, z których pajak niezmierny spuszczał się na jedwabnej swej nici, i już siadał na głowie księżniczki Joselówny, gdy młody hrabia Chaim, piorunem się ze stołka porwawszy i poskoczywszy naprzód, lisią swą czapkę przeciął nić pajęczą i samego brzydkiego robaka pantoflem zagniół.

Oklask powszechny okrył czyn zwycięzcy, a szambelan, przyjaciel mój, powiedział mi, że hrabia był jednym z najwaleczniejszej mło-

dzieży izraelskiej i że nie był to pierwszy dowód nieustraszonego męstwa jego.

Tymczasem ta pojedyncza bitwa hrabiego z pajakiem przerwała taniec i przyjaciel mój miał sposobność przedstawienia mię szanownej ciotce swojej.

Była to wysoka żydówka około lat czterdziestu mająca, jeszcze świeża i dosyć ładna; miała ona drojetową suknię w winogrona, na głowie czerwoną chustkę, z pod której wychodzące skrzydła z dużych pereł zakrywały znaczną część twarzy, na piersi wisiał duży kanak z dyamentów.

Pani ta przyjęła mnie z grzecznością bardzo blisko graniczącą z przymiotem, który my kokieterią nazywamy.

Siostrzeniec jej, szambelan, chciał mnie innym damom przedstawić, lecz nie dopuściła do tego hrabina Rachel, i owszem, wzięwszy mnie w rekwizycję dla siebie samej, usiadła ze mną na boku i, jakgdybyśmy się znali od wieków, zaczęła mi opowiadać historję życia i obyczajów wszystkich zaproszonych przez siebie dam i kawalerów, Bawiła mnie wprowadzie jej rozmowa, lecz nie mogę powiedzieć, by dobroć jej wyrównywała dowcipowi.

Podług twierdzenia hrabiny Rachel, nie było jednej kobiety, któraby przynajmniej dwu-

dziestu miłosnych awantur nie miała, nie było żydka, którego by tysiącem nie obłożyła śmieszności.

— Czy wiesz—mówiła, pokazując mi młodą parę—ten hrabia Lejbuś, co to niby trzyma tylko tę damę za rękę, w tym momencie oto daje baronowej Nuché ustrzyżone z pejsaków swych włosy. Lejbuś jest strasznie głupi, a ona największa w świecie kokietka.

Uważałem ogólnie, że im piękniejsza była żydówka jaka, tem ostrzejszemi obmowy gro-tami obsypywała ją dobra ta pani.

Nie jeden może zapyta: jakżem z hrabiną tak długą mógł prowadzić rozmowę, nie umiejąc ni słowa po żydowsku?

Przypominam czytelnikom naprzód, że to był sen, a zatem marzenie pełne przeciwieństw i niedorzeczności; powtóre, o ile pamiętam, nie tylko hrabine, ale wszystkie damy izraelskie, wszystkie nawet młode bachorzęta nie trzepały jak po francusku.

Na dowód tego jeszcze jedna okoliczność przychodzi mi na myśl. Pamiętam, że hrabina, opisując mi łaskawie charakterystyki wszystkich snujących się przed oczyma naszymi osób, wskazując na jednego starego żyda, rzekła:

— To jest osobliwy oryginał, zawsze kwaśny i opryskliwy; dzikie jakieś urojenie opano-

wało głowę jego: koniecznie chce, żeby żydzi po żydowsku gadali, i tak to ustawicznie powtarza, iż wszystkich już na śmierć zanudził; zresztą i z innych względów nieznośne to jest stworzenie.

Postrzegłszy, że długa moja z hrabiną rozmowa nie podobala się kilku żydkom, co się koło niej kręcili, wstałem, by zobaczyć co się po innych izbach dzieje.

I tam, jak wszędzie, pokątne rozmowy, zawiść, szept.

Roznoszono na dużych tacach wódkę, miód i wiśniak, tudzież pieczone mace, obwarzanki. Między konfiturami najwięcej widziałem cebul w cukrze smarzonych, na kształt naszych kasztanów.

Nic wyrównać nie mogło pieczołowitości matek około córek swoich; ta szeptała swojej do ucha, żeby się prosto trzymała, owa zgrzana po tańcu nie dozwoliła pić piwa, tamta swoją zakrywała chustką, trzecia nakoniec intrygowiała, żeby córka jej, nie kto inny, tańczyła solo (znaczy sama jedna) ulubiony taniec na śliczną nutę Majufes.

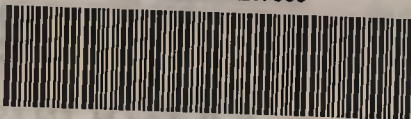
Wśród tych tańców i śmiechów, ministrowie rozmawiali o sprawach publicznych, a synowie ich szepotali o miłości.

Kamerdynierowie roznosili chłodniki. Wkrót-

ce jeden z nich, niosący na niezmiernej tacy kubki z czosnkowemi lodami, poślizgnął się i z całym ładunkiem padł na ziemię jak długi. Brzęk tyla potłuczonego szkła tak był przeraźliwy, iż mnie, acz twardo śpiącego obudził.

Otworzyłem oczy. Silnie zwodniczymi mamiłony obrazami, długo pojąć nie mogłem gdzie byłem. Dalsze dopiero zebranie zmysłów przekonało mnie, iż smutne przedmioty, które mnie przez całą noc dręczyły, snem tylko były znikomym.





I 405990

Jana Jeleńskiego

Poprzednio wyszły broszury:

JAN MRÓWKA:

**Co to jest antysemityzm i jak
go chrześcianin-katolik rozu-
mieć powinien.**

ANT. WERYTUS:

**Jan Jeleński i jego
hasła ku odrodzeniu
narodu.**

Cena każdej z tych broszur: za 1 egz. 5 kop.
z przesyłką 7 kop.;

za 100 egz. rb. 3., z przesyłką 3.60.

Żądać we wszystkich księgarniach.